

W. ROGUSKI

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

ROK VII. KRAKÓW, 15. WRZEŚNIA 1930. NR. 1.

CENA NUMERU POJEDYNCZEGO 80 GROSZY

DZIŚ I JUTRO

ROK VII. KRAKÓW - 15. WRZEŚNIA 1930. № 1.





Z MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWY KOMUNIKACJI I TURYSTYKI W POZNANIU - RUMUNJA.

BRAWUROWY LOT MŁODEJ PILOTKI

Lipcowy numer „Skrzydlatej Polski“ podaje szczegóły lotu 22 letniej pilotki angielskiej, Miss Anny Johnson, z Londynu do Australji, przedsiębrany w celu pobicia rekordu Hinklera. Anny Johnson rekordu wprawdzie nie pobiła, gdyż podróż jej trwała dwa dni dłużej niż lot Hinklera. Hinkler dni 15-cie, Anny 17-cie, mimo to jednak wprawiła w podziw świat lotniczy odwagą i stałością w wykonaniu swego przedsięwzięcia, mimo napotkanych trudności.

Miss Anny podejmuje lot 14800 kilometr. dopiero co ukończywszy szkołę lotniczą, mając za sobą dotychczas zaledwie 50 godzin lotu.



Wystartowała dnia 5 maja.

Z 9. na 10. maja w drodze z Aleppo do Bagdadu spotyka ją samum i zmusza do lądowania na pustyni. Tego samego dnia po przybyciu do Bagdadu leci dalej i ląduje w Karachi. W locie do Rangoonu Miss Johnson napotyka burzę, połączoną z ulewnym deszczem tak, że musi zatrzymać się w Insein. Przy wybiegu samolot łamie śmigło o krzaki zagajnika.

Znów strata czasu na naprawę, no... i szanse pobicia Hinklera maleją.

Nic to — Anny dnia 16 maja startuje z Rangoonu do Bangkoku. Utrudniają lot fatalne warunki atmosferyczne, a przebyć musi na tej trasie pasmo górskie Trzech Pogód 3000 m. wysokie. Na domiar złego nie może odnaleźć najniższego przejścia między górami. Ale dodaje gazu i leci wprost przechodząc przez chmury. W Sjamie kończy jej się mapa. Można jednak lecieć bez mapy. Orjentując się charakterystycznem skrzyżowaniem dróg, przybywa wśród nieustannych chmur i deszczów do Bangkoku śmiertelnie znużona.

Silnik grzeje się; ponieważ śmigło otrzymane w Rangoonie jest za lekkie i daje za wiele obrotów. Po prowizorycznej naprawie skrzydła 17 maja Miss Johnson startuje w kierunku Singapore.

Wśród niepogody ląduje na tej trasie tylko w Singoru. Tam otrzymuje nowe skrzydło, ale już lądując na Jawie, dziurawi je o ostre tyki bambusów. Nic to — uszkodzenia można naprawić. Ms. Johnson leci dalej i przybywa szczęśliwie, wśród entuzjazmu zebranych widzów do portu Darwina, gdzie czeka ją gratulacyjna depesza od króla.

Rekordy bywają różne, ale żaden nie jest tak wielki, tak powszechny jak *wyścig pracy* do którego stajemy teraz w murach szkoły, żaden nie jest bardziej doniosłego dla ludzkości, dla kraju znaczenia.

Wytrwajmy więc z energją nie słabnącą.

Okażmy, że w pracy polskie dziewczęta dorosły do miary pilotki angielskiej.

Niech hasłem naszem wobec trudności będzie: — Nic to! —

S. S.

Obdartus stanął, oglądając pilnie wszystkich czworo zapitem, lecz nie pozbawionem bystrości okiem. Badawczem spojrzeniem ogarnął każdy szczegół ich postaci i odzieży. Dostrzegł na szerokim liściu łopianu parę okruchów chleba, któremi Janek wabił poprzednio wróble i zgarnął je ostrożnie na podstawioną dłoń.

— Od wczoraj nie jadłem, — mruknął objaśniająco, — takie teraz czasy, — ani ukradniesz, ani uprosisz...

Odruchowo pani Turska wyjęła z zawiniątka kromkę chleba, podając mu ją z prostotą.

Chwycił chciwie, nie patrząc.

— Pierwszy raz chyba odkąd nam raj sowiecki zapanował, ktoś nieprzymuszony daje drugiemu chleb, — zauważył, — Co wy za jedni?

— Polacy, — odrzekł półgłosem z dumą Włodek i urwał pod ostrzegawczem spojrzeniem matki.

— A... Polaki... Bywsze burżuje pewno?

— Jakie tam burżuje! — uśmiechnęła się pani Turska z przymusem, — chłopy proste i tyle!

— A baczę... chłopy... Coście robili przed 17 rokiem błogosławionej ery wolności?...

— Gospodarowali jak i teraz.

— W swoim majątku?... Bywsza pamieszczyca [1]) co? — pozwoli pani, że się jej przedstawię...

Skłonił się gestem zdradzającym dawne staranne wychowanie i rzekł ceremonjalnie:

— Aleksy Mikołajewicz Wołosow, były profesor uniwersytetu kijowskiego, były członek honorowy Akademji Petersburskiej i Sorbony...

Roześmiał się przykro, chrapliwie i usiadł ciężko na trawie, wyciągając przed siebie węźlaste obrośnięte brudem stopy.

...Bywsza pamieszczyca... bywszy profesor.... dobra kompanja...

Jadł żarłocznie i głośno chleb, nie spuszczając z nich uważnych oczu.

— To pan tam mieszka? W tym lochu? — zagadnął nieśmiało Janek.

— „Pan“ tam mieszka, owszem, całe lato... żyje jak pamieszczyk... Dobre życie!... Sam dla siebie tyle miejsca... Zimą tylko bieda... Trzeba iść do urzędu na „piszczyka“ [2]), bo by tu mróz zjadł...

— A gdzie się pan żywi latem? u kogo?

— Jak Bóg da. Zrobił ręką okrężny ruch oznaczający ściąganie czegoś ukradkiem.

— Kraść trzeba, — rzekł dobrodusznie, — w Rosji każdy żyje jak może...

— Ale te kamienie, to chyba nie pan budował? — powrócił do poprzedniego tematu Janek.

— Aleksy Mikołajewicz wybuchnął grzmotem śmiechu.

— Ja! — odparł, krztusząc się, — ja!? Rybeńko! na 3.000 lat przed Nar. Chrystusa ustawiono te kamienie... To przedhistoryczny żalnik... grób skrzynkowy, szkieletowy, grób wielkiego wodza... Bo tylko dla wodza ciągnęliby zdaleka kamień... Tu kamienia niema... Ja tylko odkryłem ten grób i to już wielka rzecz! Uderzył się z dumą w piersi. Zastałem w nim wszystko jak było... włożone. Amfory!... broń!... ozdoby z bursztynu! Można z całą pewnością stwierdzić, że to nie kimeryjska kultura, ani łużycka, ale kampińska! Kampińska! Trzy tysiące lat przed Chrystusem... Megalistyczny grobowiec!... Czego w nim nie było! Całkowite wyposażenie wodza... Cuda, cuda, mówię wam! Nowe światło przewracające wszystkie dotychczasowe poglądy na kulturę prehistoryczną!.. Całkowita rewolucja pojęć!... ja to odnalazłem!... ja!...

...ale mi wszystko rozkradli... zabrali... trzy amfory zaledwie zostały...

Urwał, niebieskie jego oczy znierucho-

[1]) Była dziedziczka.

[2]) Pisarz.

miały dostrzegłszy wystającą z zawiniątka szyjkę butelki, do której przy każdem źródle wędrowcy nabierali wody do picia. Sięgnął po nią błyskawicznie ręką.

— Wódka?

— Ze studni, — roześmiał się Włodek. Aleksy Mikołajewicz Wołosow spojrzał na niego niedowierzająco, przytknął butelkę do ust, pociągnął i wypluł coprędzej.

— Woda! — przyznał z głębokiem rozczarowaniem.

— Kto zabrał te piękne rzeczy? — dopytywał Janek, — przecież tam tak trudno trafić?...

...Kto?... ej gołąbku!... co tu łgać!... ja sam wyniosłem bursztyny i bronzy... babom sprzedałem za wódkę... samogonkę... Cóż poczniesz?... Bez wódki nie żyć... Duszęby sprzedał za wódkę... Wódka, — jedna przyjaciółka... Ostatnie dobro rosyjskiego człeka.:. Naprawdę nie macie wódki?...

— Naprawdę. Ani ja, ani dzieci nigdy nie bierzemy, wódki do ust...

— Ot, jacy! Jak można?... Nu, prawda... Spoważniał i nachylił się ku niej; Wy macie swoją Polskę... Choć wam tu bieda, ale ona tam jest.... jest o czem myśleć, gdzie iść... Myśląc o niej i biedy nie czujesz... A nam nie zostało nic... nic...

Nic, tylko ta samogonka, ostatnie dobro rosyjskiego człeka...

Zgarbił się, nastroszył, sposępniał

Zapatrzył się przed siebie, sposępniał tak głęboko i nagle, że dzieci spoglądały nań z niepokojem. Naraz otrząsnął się.

— Nie możecie dziś iść dalej, — rzekł serdecznie, „mamusia“ bardzo zmęczona. Przenocujcie u mnie. Bezpiecznie. Nikt nie zachodzi. Możecie siedzieć choćby dwa, trzy dni. Wy dacie chleb, a ja chatę.

Zgodzili się bez wahania. Pani Turska była istotnie niezmiernie zmęczoną i z przyjemnością myślała o całodniowym odpoczynku wśród borów porastających prastarą mogiłę. Choć gospodarz zachęcał do wnętrza, postanowili spać na trawie w słodkiem, wonnem od kwitnącego badyla powietrzu. Lecz przed wieczorem lunął rzęsisty deszcz, błogosławiony letni gość i schronili się w ciasnej pieczarze nadsłuchując szumu i pluskania Jak pobudzone chłostą dżdżu, krzewy i zioła rozpachniały się, osiągły maksimum swego napięcia i mccy. Aż ciemna cela przedhistorycznego człowieka stała się duszną od woni.

Niezdolny zasnąć, leżał Włodek na wznak, ściśnięty między gospodarzem a Jankiem. Tuż nad jego głową wisiał kamienny strop grobu, a nad stropem kilkunastometrowej grubości, ziemia kopca. Deszcz pluskał na dworze. Słoty o tej porze nie będzie, — myślał leniwo, dobrze, że pada. Droga zamięknie, kurz nie będzie mamie dokuczał. Jakie to dziwne, że w Rosji jedynem teraz bezpiecznem schronieniem są groby. Nieprzyjemnie jest spać w grobie. Kogo tu chowali? Jakże dawno! Przyszło mu na myśl, że wszakże ta skrzynia kamienna stanowiła niewątpliwie wspaniałą komnatę w oczach współczesnych udzi mieszczących się w szałasach z chróstu i gliny. Przez tysiące lat ludzkość pięła się mozolnie coraz wyżej, zapominając o swych niezdarnych początkach, dosięgła proporcji greckich, wytrysła w niebo gotykiem, roześmiała się renesansem. Odeszła tak niezmiernie daleko od swych pierwotnych budowli, że zdawać się mogło iż nigdy, nigdy, do nich nie powróci. A oto nagle wielki, bogaty kraj wraca ku tymże właśnie zapomnianym formom prabytu. Człowiek kulturalny, uczony, niegdyś profesor, szczęśliwy jest mogąc zamieszkać w pieczarze grobowej, uznać ją za swe mieszkanie. Cóż to jest? Dlaczego tak mogło się stać?

— Och, Boże, Boże! — szepnęła matka przez sen.

...Boże, Boże... powtórzył Włodek machinalnie. Błysło mu w myśli nagłe rozpoznanie. Nikt już nie mówi

w Rosji: Boże! Boże! z prośbą, nadzieją, miłością, — i oto Rosja spada, toczy się w dół coraz szybciej i szybciej, cofa skróś wieków, ku najpierwotniejszym czasom.

— Boże! westchnął z ufnością dziecięcą i zasnął spokojnie, bezpiecznie, niby w rodzicielskim domu.

Z. Kossak-Szczucka.

(C. d. n.).

POCIĄG NR. 47

Tratata... tatata... tatata... zawsze ten sam turkot i łomot rozgłośny dziesiątków kół olbrzymich i osi potężnych, zgrzyt bijących o siebie buforów. Szare kłęby duszące ścielą się wężem wśród łąk kwietnych i żywicznych lasów.

Maszynista napięty uwagą na posterunku. Konduktorowie którym noc bezsenna siną pręgą oczy podkrąża, snują się wśród tego tłumu zmiennego pasażerów, co się przez wnętrze węża żelaznego przelewa codzień inny.

Z białych oparów wstaje zwolna mocarz dobroczynny — zmęczone oczy otwierają się szerzej, leniwe usta znów się rozchylają. Z za firanek w domach kolejarzy wygląda już twarz jedna, druga. Szmer idzie coraz żywiej wśród współtowarzyszy chwilowych.

Jegomość pod oknem wzdycha głośno:

„Ja już od wczoraj — od szóstej godziny jadę...“

„A my od środy, od wieczora — aż z Grodna.“

„Ładny ranek.“

„Ładny, to ładny, ale coraz tu zimniej.“

„A bo to wy pewnikiem gór nie znacie, tu tak zawsze“ — burknął głos zaspany z pod kapelusza muszelkami zdobnego.

„Nie znam... już półtrzecia roku w Zakopanem siedzę,“ drobna twarz o szczeciniastych wąsach uśmiecha się, zmęczone oczy widzą gdzieś, w bezprzestrzennej krainie swój pokoik w sanatorjum.

„Sieniawa!“ Niezmordowane koła milkną na chwilę.

„Prędzej, panno Hanko!“

„Hop, już jestem!“

„Ależ twój plecak! — istny wielbłąd z ciebie!“

„To pro publico bono.“

„Naturalnie, altruista! nie nabierzesz mnie!“

„Panie Jurku. Władek, nie kłóćcie się!“

„Na Zawracie się przeprosimy!“

Stanęli czwórką koło okien, aż od nich buchnęło rzeźkością: podkute buty, ciupagi, sznury przez ramię przewieszone, na czuprynach pań mocne berety walczą z przeciągiem...

„A, pan Jurek do jutra nie doczeka w niezgodzie, prawda?“

„To zależy od tego, kto będzie pośrednikiem pokoju.“

„Cha cha cha, Natko, to do Ciebie pite.“

„O, o, już widać Tatry! wiwat!“.

Chciwe oczy piją wizje bliskich rozkoszy.

Z kłótliwym szwargotem pchają się żydzi nowotarscy, zawalają tłomokami półki i ławki... Właściciel kruczych korkociągów informuje rodaka: „A, pan wie, Seiner wczoraj na giełdzie upadł, ot tak! całkiem.“

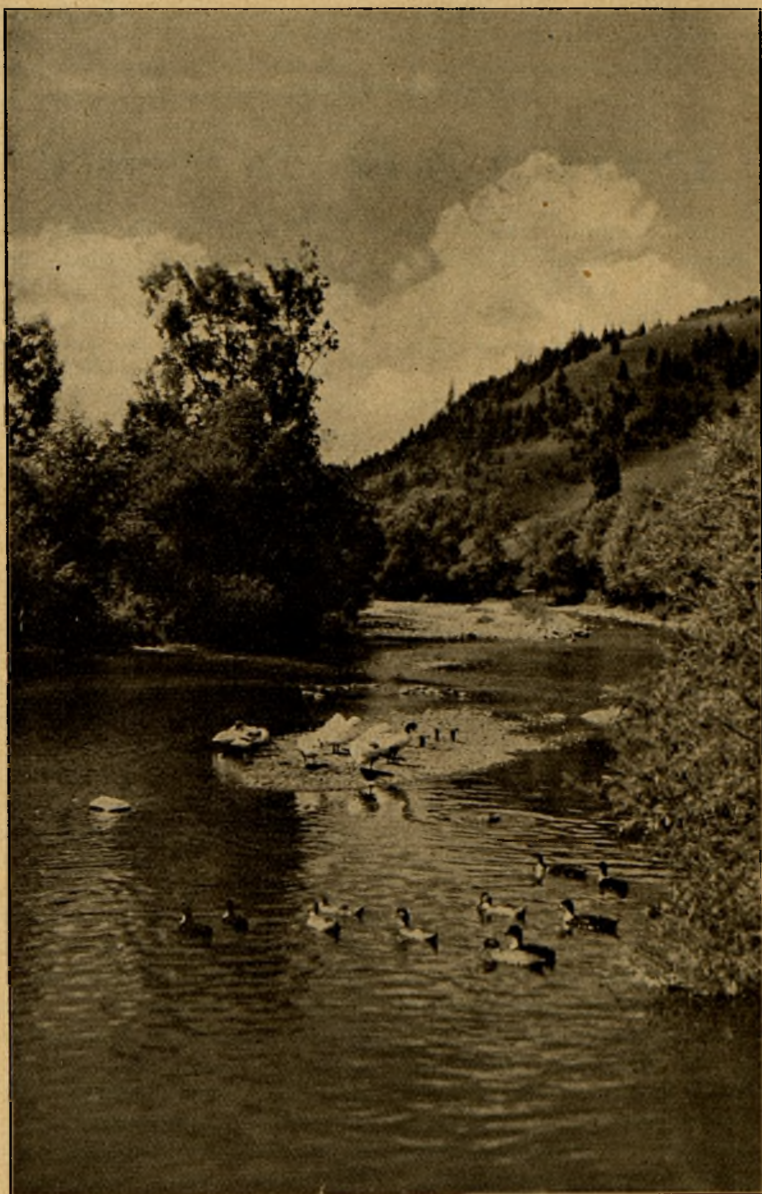
„Aj waj, taki sprytny człowiek...“

„A dziś Meisnerowi dobrze pójdzie... bo...“ — głos cichnie, czarne palce, biegają w wymownych ruchach... „ten głupi... takie naczynia emaljowane z Olkuskiej fabryki... naturalnie“ — sąsiad głową, brodą przytakuje, w oczach latają dziwne błyski...

„To panu już odmę robili?“

„Ale, już trzy razy, próbuję jak mogę; Pani rozumie... każdemu życie drogie. — W domu żona z synkiem.“ Małe oczy nad szczeciniastemi wąsikami zachodzą dziwną mgłą na chwilę, ukradkiem...

„Władek, kiń k'czortu! pocoś wogóle ten klucz brał z sobą! Znów będziesz węszyć za badylami, zamiast z nami używać na szczycie“.



Z Międzynarodowej Wystawy Komunikacji i Turystyki w Poznaniu. — Rumunja.

„Serce zgubił w tej botanice. Nie•zazdroszczę oblubienicy."

Właściciel zielonego plecaka: patykowatych nóg mruczał dalej pod nosem „Sweertia alpestris... źródliska w Tatrach, Czarna Hora... Juncus trifidus na..."

„Niech pan da spokój temu nudziarzo... on stracony dla świata."

„Słyszysz, Wład, jak cię twój kolega obmawia?"

„Ha, każdy w czemś musi, serce stracić. Na pięć minut jeszcze dajcie mi spokój... potem..."

„Dziś o 12 na Hali Gąsienicowej."

„Na żętycę*) w schronisku".

„A tu się ta maszyna wlecze! Znów staje!" Do wagonu weszła babina w szarej chuście — zrobiono jej miejsce dla jej siwych włosów.

„Ile lat macie babko?"

„Osiemdziesiąt latoś mi idzie..."

„A skąd to?"

„A z wesela wnuczki wracam, w Chołochowie się zamąż wydała...?

„Dobrze się trzyma kobieta... sama jeszcze jedzie koleją."

„Moja babka 107 lat miała, jak umarła — wtrącił korkociągarz: „35 lat jej było jak owdowiała, nie chciała iść drugi raz zamąż, bo myślała, że już stara... a 107 lat doczekała. Jak na weselu wnuka jej dzieci i wnuczki się zebrali, to pokój był pełen — 90 lat miała wtedy i jeszcze tańcowała". „Panie Apfelbaum, a znasz pan tego Brunnera... taki żydek w Nowym Targu — to jego ojciec ma 103 lat, a jeszcze w sklepie siedzi i pilnuje w jarmark — ten sklep żelazny w rynku, a stary ten, z białą brodą... O nim mało powiedzieć, że nie głupi — on jeszcze całkiem mądry człowiek, jego się można poradzić. W zeszłym roku ze strychu spadł, i to jeszcze w pakę jakąś — no, i powiedz pan, chorował i wyzdrowiał... i teraz jeszcze niema co robić, to muszelki na skórkach naszywa, co to je górale noszą."

Z nad grubego klucza podniosła się ciemna głowa: „ale, ale Jurek, zajdziemy do Janka?"

*) Owcze mleko.

„O ile zdążymy, on może kipnie do przyszłej wycieczki."

„Ładnie go ta medycyna urządziła! Na trzecim roku nie zdzierżał!"

„Marny los, bratku!"

Czwórka zmilkła na chwilę.

„Nie pchajcie się ta, baby."

„Patrzcie, a to mi pan!"

„Łukaszowa, tu! tu!"

Z krzykiem, mocnemi łokciami zrobiły sobie i swych koszykom miejsce w coraz pełniejszym wagonie.

„A wy tu co, Nastka?, też na jarmark?"

„A pewno, pieniędzy trzeba, tatkowi pszczoły tej zimy pomarzły, to sprzedajemy co możem."

„Trza było lepiej słomą na zimę obłożyć."

„Żeby się ino ziemniaki urodziły, bo to latoś ciężko żyć."

„Żyć ciężko... A słyszeliście jako to w niedzielę u nas popili się chłopcy, to tego Jontka ode Radezowej na drodze w lesie po pijanemu pobili. Pałką w głowę ze dwadzieścia razy, a jeszcze nożem żgnęli"

„No, i żyje?"

„Gdzie ta, żyje... w szpitalu ze dwie godziny leżał, taj poszedł..."

„Ot los! dobrze ino żonkę bez dzieci zostawił — wyda się drugi raz, bo młoda."

„Wyda, nie wyda, ale Jontka to chyba za jakie dawne zwady pobili."

„Kto ich ta wie; jak w głowie szumi, to i grzech blisko... Ot także łońskiego roku w Kamonicy."

„Poronin! Wysiadać".

„Stachuś, Józieczku! jesteście!" „Wysiadać, wysiadać!"

„Niech pani puści, jeszcze się tu zmieszczę!"

Gwizdek. Sapiąc, powoli popychany z tyłu przez drugą lokomotywę sunie czarny wąż jak codzień — pod górę, by wyrzucić z paszczy żelaznej a twardej tę falę ludzką — na dolę i niedolę — w podnoże gwarne wiecznie milczących olbrzymów, co jeszcze mgłę ranną noszą nad czołem Śpiącego Rycerza. Oczy wszystkich wpatrzone w las willi, w potężne gmachy sanatorjów.

Hamulce zgrzytnęły, z łoskotem zwarły się bufory... Zakopane! *Marja Wilk-Szarzyńska.*

O MATCE BOSKIEJ I LUDZKIEJ.

O Matko boska
nieustającej pomocy!
Przygniata ducha troska
we dnie i w nocy.

Myśl Twoja zagubiona
w Syna ofiarnej męce —
serce Twe kona
w Jego śmiertelnej udręce.

Koronowana
przez męczeństwo —
ogłaszasz, najwierniejsza sługo Pana,
swe ponad wszechświat wzniesione
[macierzyństwo.

Samotności
orędowniczko niepłocha! —
Zbolały, łaknący miłości —
matkę swą w Tobie wielbi i kocha.

E. Z.

WANDY LANDOWSKIEJ „MAŁY BAYREUTH FRANCUSKI"

Któż nie zna naszej wielkiej rodaczki Wandy Landowskiej?

Kto nie widział tej wyrazistej głowy pochylonej nad cembalo, głowy która zdaje się należeć do sztychów galerji, znanych muzyków z epoki romantycznej?

Kto nie słyszał wydobywających się z pod jej palców, zapomnianych dźwięków mistrzów dalekiej przeszłości: Rameau, Bach'a, Hendel'a, Scarlatti'ego itd., których barwne miraże przywoływa do życia w salach koncertowych wszystkich stolic świata?

Od wielu lat podróżuje Wanda Landowska po Europie i Ameryce i obdarza ludzkość arcydziełami „starych mistrzów", którzy właściwie „starymi" nie są, lecz przeciwnie jak się teraz o tem przekonywujemy, wiecznie żywotnymi i o tem samem wielkiem dla cywilizowanego świata znaczeniu, co odnalezienie egipskich grobów królewskich.

Wanda Landowska jest nietylko wirtuozką, która potrafi grać na tym specjalnym instrumencie wspaniale i z odrębnym temperamentem, lecz jest ona także zjawiskiem twórczem *w dzisiejszem* życiu muzycznem. Mało powiedzieć, że swoim talentem odtwórczym wzbudziła zrozumienie dla muzyki, którą laicy uważali za nieodpowiednią czasowi, (jako utwory epoki rococo), lecz całe życie, swoją wiedzę poświęciła temu, aby ludzkości przyswoić tę muzykę tak, żeby ją odczuwała jako potrzebną *i dzisiejszą.*

O tem wszystkiem wypowiada się Wanda Landowska w dziele swojem, zatytułowanem: „Stara muzyka", które ukazało się w Paryżu w wydawnictwie Sénart'a. — Autorka wykazała w niem, że nonsensem jest mówić o „modernistycznej" i o „starej" muzyce, i że dla przyjaciół muzyki o wyższej kulturze jest tylko jedna muzyka: prawdziwa i dobra.

Lecz, każda muzyka musi być wykonywaną na instrumentach, dla których powstała. Od dziesiątek lat, nie interesował się nikt starem cembalo, dla którego stworzone były niezapomniane dzieła Couperin'a, Scarlatti'ego; Landowska zdobyła dla swej teorji siłę przekonywującą, — wówczas, kiedy opanowała w sposób mistrzowski ten rzadki instrument.

Urzeczywistniło się piękne i wzniosłe marzenie artystyczne: w przecudnej pełnej uroku okolicy Ile-de-France, w Saint-Leu-la Fôret, w pośrodku odwiecznego parku urządziła sobie Landowska świątynię muzyki — która jest zarazem małem muzeum starożytnych instrumentów, gdyż widzimy tu stare rzadkie okazy ze wszystkich krajów; obok florentyńskiego spinetu z kości słoniowej, które należało do rodziny Medici, obok holenderskich klawikordów, także i ten słynny fortepian, na którym

nasz genjalny Chopin na wyspie Majorce skomponował swoje Preludja.

Zewnętrznie architekt Moreux stworzył linje proste, szlachetne. Ciepło-żółty kolor przypomina stare kościoły hiszpańskie.

Tutaj w Saint-Leu święci cembalo swój podwójny renesans, gdyż Landowska otworzyła tu szkołę, aby móc uprzystępnić ogółowi tajemnice gry na spinecie. — Uczniowie z całego świata pielgrzymują do tego dotąd nieznanego miejsca, które wnet uzyska sławę „francuskiego Bayreuthu", gdyż tu niepospolity czar sztuki odtwórczej Wandy Landowskiej stwarza właściwą atmosferę tej najbardziej ekstatycznej muzyce.

Dla Landowskiej jest to urzeczywistnieniem celu jej życia: jest ona Westalką nowo-powstałego ognia wielkiej muzyki. Równocześnie staje się ona inspiratorką nowej *jutrzejszej* generacji muzycznej. Najwięksi mistrze przychodzą do niej uczyć się, gdyż stworzyła ona nowe pole dla pracy twórczej w muzyce.

Zapomniane cembalo święci swoje odrodzenie: młody, lecz bardzo już znany kompozytor francuski, Francis Poulenc, skomponował specjalnie dla Landowskiej swój „Concert Champêtre", który był wykonany z niebywałem powodzeniem w Paryżu, w sali Pleyel'a. Cały Paryż podziwiał tę prawdziwie francuską, delikatną koronkową muzykę, obmyślaną jednak w duchu Bach'a.

Tutaj też pozwoliła Landowska przemawiać żywemi słowy tonom Couperin'a, Dandrieu, Chamboniers'a. Słuchaczy i interpretatorkę łączyły godziny przeżycia subtelne i silne, podczas których dusze wielkich twórców muzyki antycznej wydawały się nam nieskończenie bliskiemi.

Paryż, w sierpniu 19:0.

O. J.

JEDWABNE POŃCZOCHY

Słońce poranne, radosne, jasne i mimo wczesnej godziny grzejące już mocno zastało nas przy Hińczowym Stawie Wielkim. Rozważaliśmy we trzech, którą drogę wybrać: czy łatwiejszą Przełęcz Koprową, czy niemniej piękną, ale znacznie trudniejszą, bo więcej wymagającą wysiłku i bardziej eksponowaną Przełęcz Mięguszowiecką. Ja znałem obie przełęcze i teraz wyłożywszy swym dwom młodym towarzyszom trudy i piękności każdej z tych dróg im zostawiłem prawo wyboru. Zadecydował o wyborze drogi najmłodszy z nas Stenek G. a raczej zadecydowało ukazanie się na ścieżce, wiodącej ku przełęczy Mięguszowieckiej, pociągającej i eleganckiej panienki, która zgrabnie i lekko szła w górę — a zatrzymywała się raz po raz tylko poto, by zwrócić się z okrzykami zachwytu do towarzyszącego jej starszego mężczyzny.

Stenek odrazu skręcił na ścieżkę, którą szła młoda dziewczyna — a my poszliśmy za nim. Rychło zrównaliśmy się z idącymi przed nami turystami. Nastąpiło zapoznanie się, wymienienie nazwisk i celu wyprawy. Okazało się, że pójdziemy wszyscy jednym i tym samym szlakiem przez przełęcz Mięguszowiecką zwaną pospolicie „pod Chłopkiem" do Morskiego Oka. — Nowi znajomi przedstawiali się nadzwyczaj sympatycznie. Byli to: pan W... ze swą córką panną L..., dwoje Niemców, którzy porwani urokiem Tatr, z uniesieniem pokonywali trudy coraz to żmudniejszej drogi. Pan W... poznał Tatry już w ubiegłym roku, odrazu zakochał się w ich pięknie i odrazu robił wycieczki tego rodzaju, że obawiająca się o jego bezpieczeństwo żona — w obecnym roku jako czynnik równowagi i zastanowienia, równoważący jego „taternickie szaleństwa", przydała mu do boku 18 letnią córkę. Tymczasem młoda panna zapaliła się do wycieczek górskich jeszcze więcej niż ojciec i ona to wyciągnęła go

teraz na Przełęcz Mięguszowiecką, którą ojciec przeszedł już raz w roku ubiegłym.

Jednak zapał i zachwyt młodej dziewczyny nie zdołały zastąpić jej na dłuższą metę wprawy w chodzeniu po górach, a ojciec, chcąc uchronić córkę od przemęczenia, poprosił grzecznie: „Idźcie, Panowie, naprzód i zaczekajcie na nas dopiero wtedy, gdy przejdziecie półkę skalną. Ja zostanę, by pomagać córce".

Zostawiliśmy więc Niemców za sobą i zabraliśmy się żwawo do pokonywania półki. Nie była zbyt trudna. Przebyliśmy ją też bez większego wysiłku w niespełna 5 minut i ani nie zwróciliśmy uwagi na tak pospolity fakt, że miejscami trzeba było iść na kolanach i że szorstkość i przyczepność naszych ubrań i pończoch była nam przy tem przejściu naprawdę pomocną. Podeszliśmy nieco wyżej na miejsce lepiej nadające się na wypoczynek i spokojnie oczekiwaliśmy ukazania się Niemców. Gdy jednak minęło dobre 10 minut, a Niemców nie było widać, zaczęliśmy się niepokoić i to na dobre. Iść im z pomocą było rzeczą ryzykowną, bo półka leżała na linji spadku kamieni i łatwo pomimo największej ostrożności moglibyśmy im oddać niedźwiedzią przysługę, strącając na nich kamienną lawinę. Nareszcie ukazał się pan W... ale nie szedł ku nam, lecz zwrócony wstecz wykonywał jakieś dziwne ruchy i wydawał niewidzialnej dla nas córce rozkazy. Padały komendy: „rechts, links" (na prawo, na lewo) i t. p. Panna L... tymczasem borykała się beznadziejnie z przejściem płyty. Pan W... z coraz większym niepokojem wskazywał córce chwyty — aż wreszcie na jakie 5 minut zamilkł — pochyliwszy się ku dołowi, gdzie córka wyczerpana bezskutecznemi próbami, by przejść półkę na kolanach ujętych w gładkie jedwabne pończochy, ostatnim wysiłkiem podsunęła się pod ścianę i tam się położyła, by wytchnąć i nabrać sił do nowej walki. Wreszcie po wypoczynku — z najwyższem wytężeniem przeczołgała się przez niebezpieczne dla niej przejście i ukazała się naszym oczom. Jakże opłakany był teraz jej wygląd! Włosy jej były zwichrzone, postać cała wyrażała ostateczne wyczerpanie, a podarte, zwisające w strzępach jedwabne pończochy, podrapane i krwawiące kolana dopełniały tego żałosnego widoku. Zawstydzona usunęła się corychlej z naszych oczu. Za występem skalnym opatrzyła swe nogi, zdjęła śliskie, poszarpane, jedwabne pończochy, złożyła na dnie plecaka to „corpus delicti" swej nie na miejscu elegancji, które omal nie przyprawiło ją o utratę życia — i o dziwo! wydobyła z wnętrza plecaka porządne pończochy turystyczne, które dopiero teraz z uznaniem i wdzięcznością wciągnęła na nogi. Poprawiła ubranie i za chwilę stanęła przed nami jako solidna, celowo i dobrze odziana turystka. — Podrapanie i przestrach rychło zniknęły, ale nauka krwią opłacona na zawsze pozostała jej w pamięci.

Taternik.

Z POZNAŃSKIEGO OGRODU ZOOLOGICZNEGO

Wreszcie jestem za bramą ogrodu zoologicznego. Już dawno przyrodnicze serce tęskniło do słonia i wielbłąda, do pasiastej zebry i rosochatego jelenia. Zaraz naprzeciw bramy są pawilony dla kopytnych. Robi mi się dziwnie posępnie na widok jeleni i danieli w zagrodzeniach, gdzie ziemi nie okrywają bujne trawy, gdzie niema nawet złudzenia tych obszarów szerokich, które im są naturalnym terenem życia.

Ale trudno — rozum musi moje przyrodnicze serce zwyciężyć. Ogród zoologiczny jest instytucją doniosłą dla kształcenia społeczeństwa, dla zbliżania tysięcy młodych i starych do przyrody; dyrekcja

robi, co może, by kochanym lokatorom było możliwie jaknajlepiej, koszta utrzymania ogrodu są olbrzymie — przekonywuję samą siebie przemocą — i idę dalej.

Mokre chrapy jelenia wyciągają się ku mnie o jedzenie, podziwiam śliczne w swej majestatycznej prostocie ruchy głowy.

Trudno się bliżej zatrzymywać (...przy opisie, nie w zoologu..) przy każdym z czworonożnych przyjaciół, bo ich tu dużo: różne antylopy i kozy, gnu błękitne i poważna lama, i koźlątko, najmłodszy mieszkaniec zoologu co choć ma tydzień dopiero, skacze i dokazuje w najlepsze.

A oto i państwo kangurowie z dzieckiem. Kangur wydaje mi się bardzo śmieszny: siedzi na tylnych nogach, podparty twardym ogonem, a przy skokach przechyla się przedziwnie całem ciałem. Młode kangurzątko nie jest już niemowlęciem, bo skacze samo, kangury zaś przychodzą na świat bardzo drobne — zaledwie 3 cm. długości — i zaraz po urodzeniu matka wkłada je sobie do torby gdzie przebywają jeszcze szereg miesięcy, karmiąc się jej mlekiem i odbywając przez ten czas podróże tylko na matczynych nogach.

W jednej z sąsiednich zagród indyjskiego pawilonu (budowla środkowa gdzie są zimowe pomieszczenia, jest w stylu indyjskim) spaceruje wciąż poważny słoń a raczej pani słoniowa, Dora, bo jej olbrzymi małżonek, Kohn zmarł przed paru laty. Słoń wie, że ludzie lubią go karmić, wyciąga więc swą długą trąbę daleko, daleko i wykonuje nią szukające ruchy, śledząc przytem małemi, czarnemi oczami zachowanie swych „gości". Zwraca jego uwagę książka, którą trzymam w ręku, stara się jej dosięgnąć, ale daremne zakusy. Dora książki nie dostała, zato mogę podziwiać jak czułym organem jest jej trąba zakończona palczastym wyrostkiem, bo zbiera nią drobne kawałki rzucanego chleba, może podnieść nawet szpilkę z ziemi. Szerokie nogi zwierzęcia stąpają ciężko choć miękko po cementowej podłodze.

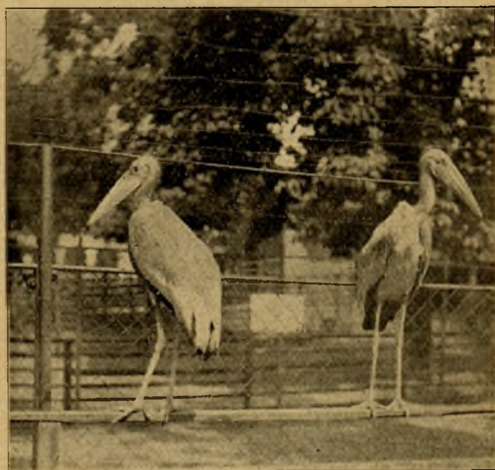
W myśli oglądam wyprawę na grzbiecie słonia, choć nie tęsknię do niej, bo podobno skutki tej jazdy przypominają skutki kołysania fal morskich.

Śliczne, a trudne do oswojenia zebry, osioł nubijski, dziś już ginący — to jeszcze mieszkańcy indyjskiego pawilonu. Zaraz obok dwa potężne żubry, byk i krowa przywodzą mi na myśl usiłowania międzynarodowej Ligi ochrony żubra, by zachować od zagłady te ginące dziś zwierzęta.

Obok żubra mieszka potężny bizon, równie grzywiasty i brodaty, jak nasze żubrzysko i równie jak on zagrożony zagładą przez chciwego człowieka.

Dziś już Ameryka ma tylko parę stad bizonów, z których jedno chronione jest w sławnym Yellewstone-parku.

Niepodobna nie zboczyć ku lwom morskim — szczekają tak przeraźliwie, rozwalając swe niezgrabne cielska na brzegach basenu. Palce przednich i tylnych nóg połączone silnemi błonami pływnemi, wskutek czego nogi są właściwie pletwami; nie dziw, że na takich kończynach niedalekoby te zwierzęta zaszły na lądzie, zato w wodzie pływają cudownie; zda się, że bez żadnego wysiłku prują wodę swem wrzecionowatem ciałem, wychylając od czasu do czasu nozdrza po łyk powietrza i łypiąc ciemnem, lekko zamglo-



„Zawsze zadumane" marabuty.

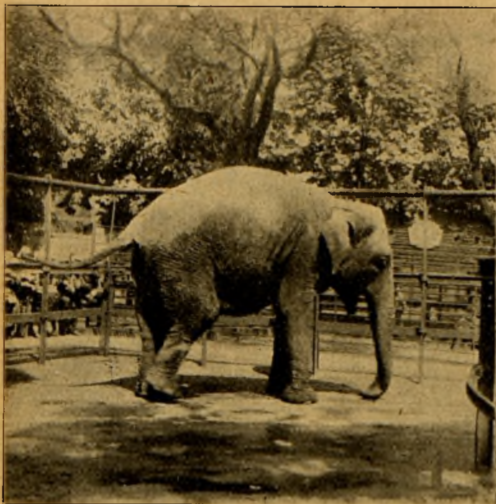
Ogród zoologiczny w Poznaniu.

nem okiem. Lwy morskie karmi się surowemi rybami, a że apetyt mają one niezgorszy, są bardzo kosztowne do utrzymania.

Przechodzę obok wielbłąda jedno i dwugarbnego — nie mają gdzie rozwinąć sprawności swych długich, silnych nóg o szerokiej stosunkowo podstawie zakończonej ciemnemi kopytami; wyciągają jeno głowy i gdzieś w dal patrzą może im się śnią piargi i solniska Sahary. Z solnisk mają tu coś — każdy wielbłąd ma duży kawał soli, którą liże i zajada z apetytem.

Już dolatuje mię zapach — bynajmniej nie różany ani heliotropowy — znak, że zbliżam się do mieszkania niedźwiedzi. Trzy brunatne i dwa białe misie leżą na chłodnej posadzce lub spacerują, wspinając się na pnie drzew, umieszczone w tym celu w ich rezydencjach.

Zaczyna się właśnie kąpiel: wąż gumowy zieje potężnym strumieniem na pluszowe futro, a biały niedźwiedź obraca się na wsze strony, by lepiej użyć rozkoszy. — Z kolei kąpiel idzie do dalszych misiów — brunatne niedźwiedzisko otwiera szeroko spragnioną paszczę i pije zimną wodę wprost ze strumienia sikawki.



Słoń indyjski „Dora"
ulubieniec bywalców Ogrodu Zoologicznego.

Nad niedźwiedziami urządzone są sztuczne skały dla kozic górskich — podziwiam ich skoki o idealnej zręczności. Pod kozicami mieszkają wilki, wielkie psiska o drapieżnych oczach, małe lisy kryją się gdzieś w najdalszy kąt, świecąc zdala zielonawemi oczami, borsuk zarył się w słomę i ani myśli mi pokazać swego nosa.

Schodzę na dół do małp... Doprawdy, kto ma jaką zgryzotę w sercu, niech tu przyjdzie: skoki akrobatyczne, nagłe, niespodziewane pomysły małp, ciągłe zmiany sytuacji... teraz na dole — za chwilę już jejmość na górze po to, by znów w paru susach opaść lekko na piasek. Olbrzymia klatka z pniem drzewa na środku daje dość miejsca na sztuki kilku małpom, huśtawka wewnątrz też wciąż jest w ruchu. Pochylam się ku klatce, by się bliżej przyjrzeć jednej z tanecznic, która właśnie rozwija cukierek z papierka — i nagle dostaję szybkie uderzenie w głowę. Na szczęście — kapelusz siedzi dość mocno na głowie, zato beret jakiegoś chłopaczka kończy właśnie swój żywot, porwany przez małpy na strzępy — miały z niego niezłą zabawkę na kilka minut.

W klatce z małpami są też trzy pancerniki — małpy nie mogą im zrobić nic złego, ale bawią się niemi pysznie: ciągną wtył za ogon, przewracają, a potem patrzą na gramolącego się pancernika z miną rozradowanego figlarza lub pędzą stroić zabawne miny przed lustrem umieszczonem w ścianie klatki.

A papuziarnia! Pstre roje papug drą się przeraźliwie i koziołkują, barwne tkacze wiją misterne gniazdka, tukan pieprzojad prezentuje swój pomarańczowo-złoty dziób. Zdala dochodzi głuchy pomruk — to trzy młode tygrysięta harcują. Przyszły na świat 27 stycznia, były wtedy wielkości szczura, wykarmiła je wilczyca, bo tygrysica bywa nieuważna, może się czasem położyć na dzieci — i naturalnie że już po nich. Wilczyca przyjęła od razu nowe dzieci i widać, że im była troskliwą karmicielką, bo dziś kilkomiesięczny tygrys ma wzrost olbrzymiego saint-Bernard'a. Ruchy tygrysiąt zwinne, kocio-ciche — a silne.

Obok lwica zbudzona hałasem młodzieży przeciąga swe potężnie, płowe cielsko. Król tylko nie raczy nawet podnieść powieki...

Pantery i pumy śpią. Wśród wielkich drapieżców zacznie się ruch żywszy koło 4-tej godziny, bo o 5-tej dostają one jedzenie, będą więc krążyć niecierpliwe, gnane głodem. Mijam strusia o bujnem, czarnem upierzeniu, krzykliwego żórawia, wiecznie zadumane marabuty, olbrzymią woljerę z bocianami białemi i czarnemi, z pelikanem torbiastym i długonogiemi czerwonakami, z krzykliwemi mewami i elegancką czaplą.



Wielbłąd jednogarbny — okręt pustyni.

Na dziś — dowidzenia! przyjdę tu jeszcze do was, przyjaciele, wmyślać się w wasze życie i „psychikę", wpatrywać w cudowne w swej rozmaitości i harmonijnym, każdemu właściwym umiarze, kształty. Dowidzenia!

Marja Wilk-Szarzyńska.

IDZIE JESIEŃ.

Idzie jesień, idzie złota,
i dzionki nam kradnie,
pajęczynę białą mota,
i w rzeczułce koło płota
przegląda się ładnie.

Szronem lśniącym wraz posiewa
te ozime żyta,
w borach psalmy głuche śpiewa
i ogromne, złote drzewa
w uścisk wiatru chwyta.

Rwie garściami barwne liście
tkając z nich kilimy.
na śnieżystej zimy przyjście
i pyta się: „bracia czyście
gotowi do zimy?"

Z Bożej woli jesień święta
usypia nam sady,
o najmniejszem źdźble pamięta,
i wysyła mdłe ptaszęta
za ocean blady...

Ona gasi drżące kwiaty
by odkwitły w wiośnie;
więc rwie dziś ich strój skrzydlaty
wiedząc, że z każdej objaty
cud zmartwychstań rośnie.

Od prawieku ład swój czyni
na tym ślicznym świecie,
jesień, skrzętna gospodyni,
by dla głodnych był kęs w skrzyni
gdy przyjdą zamiecie!

Róże w giezła mchowe tuli
lub w mogiły z piasku,
łanom śpiewa: „luli, luli,
cichusieńko, przy matuli,
do nowego blasku.

A tymczasem-chmur sztandary
musi nieść po niebie,
i snuć swój różaniec stary
w tym nieszpornym nimbie wiary),
który cud kolebie.

A tymczasem-opowieści
snuje nam zmierzchowe,
gdzie się bajka z prawdą pieści,
weseląc czarem swej treści
i serce i głowę.

Anna Nagórska.

PROF. EDWARD STRASBURGER


Prof. Strasburger.

Każdy student wydziału przyrodniczego zna doskonale nazwisko prof. Strasburgera, z którego dzieł czerpać musi wiadomości potrzebne do egzaminów. Może niejeden nawet czuje niechęć do tych niemieckich książek, zwłaszcza gdy napotyka na wielkie trudności językowe. A jednak prof. Strasburger był Polakiem... Chcemy podać garść wspomnień o tym sławnym naszym rodaku, abyśmy umieli patrzeć na niego tak, jak na to zasługuje.

„Tygodnik Ilustrowany", podaje krótkie wspomnienie o prof. Strasburgerze w majowym numerze 1912 r. pisze:

...„Edward Strasburger urodził się w Warszawie i do końca życia dzieckiem Warszawy pozostał, bo o mieście, jak i o kraju rodzinnym zawsze najżywsze zachował wspomnienie".

Jakież więc były koleje życia tego człowieka, który, będąc „dzieckiem Warszawy", zabłysnął swą wiedzą na zachodzie Europy, pisał przeważnie po niemiecku, a zmarł na obczyźnie?

Przypatrzmy się bliżej jego życiu.

Edward Strasburger, urodzony 1. II. 1844 r. w Warszawie, uczęszczał do szkoły średniej w rodzinnem mieście. W r. 1861 wyjechał do Paryża, gdzie rozpoczął studja botaniczne w Sorbonie. W jesieni 1862 r. powrócił do Warszawy i tu oddawała się badaniom w umiłowanej przez siebie nauce. W letnim semestrze 1864 r. prowadzi studja w uniwersytecie w Bonn u prof. Schachta i J. Sachsa, lecz już w październiku przenosi się do Jeny na wezwanie prof. Pringsheima, który podczas odwiedzin instytututu w Bonn poznał i ocenił niezwykłe zdolności młodego botanika. W roku 1868 Strasburger otrzymuje doktorat *cum laude* na uniw. jeneńskim, złożywszy pracę p. t.: *„Historja rozwoju liścia paproci i jego szparek"*. Po tak gruntownem przygotowaniu i obronie na wydziale przyrodniczo-matematycznym Szkoły Głównej w Warszawie rozprawy *pro venia legendi* „O rozwoju szparek u roślin" powołano Strasburgera w roku 1866 do wykładu anatomji i fizjologji roślin w charakterze docenta prywatnego przy katedrze botaniki. — Wykład jego habilitacyjny „O istocie i zadaniu nauki przyrodniczej"; wygłoszony w auli Szkoły Głównej, wobec licznego grona przedstawicieli nauki i młodzieży, ujawnił nietylko wiedzę fachową i wykształcenia filozoficzne młodego uczonego, lecz i świetny dar słowa i gorący zapał do nauki, zalety które pozostały na zawsze cechą jego umysłowości i wiodły badacza ku najgłębszym zagadnieniom wiedzy, których rozwiązaniu poświęcił swoje życie. Jego miłość przyrody pełna estetycznego odczucia nadawała wszystkim jego pracom, tak naukowym jak popularnym, wysokie piętno artystyczne.

Po zamknięciu Szkoły Głównej Strasburger opuścił Warszawę 1869 r., aby objąć w Jenie stanowisko dyrektora ogrodu botanicznego i profesora nadzwyczajnego. 25-letni botanik został wówczas następcą prof. Pringsheima, którego niedawno był uczniem. W r. 1873 zostaje mianowany profesorem zwyczajnym i pozostaje na tem stanowisku do r. 1881, poczem obejmuje katedrę i zarząd ogrodu botanicznego w Bonn nad Renem. Zapraszano go do Tübingi i Monachium, lecz odmówił stanowczo, oddany pracom naukowym w Bonn, gdzie zmarł 19 maja 1912 r.

Instytut botaniczny, laboratorjum, sala wykładowa prof. Strasburgera znajdowały się w zamku Popelsdorf (dawna rezydencja biskupów Nadreńskich), otoczonego przepięknym ogrodem botanicznym, skąd roztaczał się cudowny widok na Ren i Siedmiogórze, wznoszące się nad jego brzegami.

Pod kierunkiem znakomitego profesora instytut zyskał wszechświatową sławę, stał się, według wyrażenia prof. Chamberlain z Chicago, najważniejszym ośrodkiem cytologji na świecie.

Ideałem i dumą prof. Strasburgera było to, iż potrafił innych porwać za sobą i wpoić w nich umiłowanie tych celów, które przyświecały mu w studjach nad ową *„scientia amabilis"*. Umysł jego był tak bogaty i bujny, że mimo swej ogromnej pracowitości nie zdołał on opracować szczegółowo swych pomysłów i odkryć: tematy w zarysie powierzał innym botanikom, pracującym pod jego kierunkiem.

Aby dać obraz jego pracy, trzebaby skreślić historję cytologji i morfologji w ciągu tych kilkudziesięciu lat. Samo wyliczenie dzieł zajęłoby wiele miejsca, bo prócz podręczników do botaniki, przeszło 90 dzieł ściśle fachowych i kilkanaście popularnych są dorobkiem jego pracy. Za życia odbierał wiele dowodów uznania i zaszczytów, 44 akademje i towarzystwa naukowe mianowały go swoim członkiem. Pięciokrotnie ofiarowano mu tytuł doktora honoris causa. (Getynga Oksford, Chicago, Yale — University, Bruksela.) Otrzymał od Lineau Society of London, Darwin-Wallace medal, którym w ciągu 50 lat odznaczono tylko 7 uczonych.

Jako człowiek posiadał ogromny urok, któremu ulegali wszyscy, co się do niego zbliżali.

Dziś, korzystając z wyników mozolnej jego pracy, starajmy się iść jego śladami i szukać w przyrodzie prawdziwego piękna i dobra.

M. W.



Z Międzynarodowej Wystawy Komunikacyjno-Turystycznej w Poznaniu. Rumunja. Wnętrze domu wiejskiego. Izba w dniu świątecznym.

POSZUKIWANIE.

Po szarym piargu i po grudzie
idą w dal ciemni, chorzy ludzie.

przez rolę idą niezoraną
w posępne, bezsłoneczne rano.

Choć serce woła: „Nie zapomnij!“
oni się wloką — jak bezdomni.

Idą w kraj obcy — a im trzeba
jednego tylko: Wina, Chleba.

Lecz nikt nie stanie z nich u dźwierzy
gdzie na ołtarzu Chrystus leży.

gdzie za tą zatrzaśniętą bramą
czeka miłośnie Serce samo.

... a chociaż wkoło jest czas ciszy
wołania głosu nikt nie słyszy:

„Jestem Przedwieczne Ojca Słowo
„kruszące śmierci dłoń stalową.

„i Serce Moje się nie zmienia
„Ja jestem: Pewność Przebaczenia“.

... Lecz oni idą w dal, po grudzie
tacy bezdomni, chorzy ludzie.

przez kamieniste idą pola
szukać, gdzie dola i niedola.

J. O.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA

ŻYCIE RELIGIJNE

Wakacje ubiegłe przyniosły kilka zdarzeń doniosłego znaczenia. W ostatnich dniach czerwca (26-29) odbył się w Poznaniu **I. Krajowy Kongres Eucharystyczny.** Doskonale zorganizowany, podzielony na 15 sekcyj dla obrad nad poszczególnemi serjami zagadnień życia religijnego i ogólno kulturalnego, jednoczył wszystkich na uroczystych nabożeństwach i zebraniach plenarnych, dla oddania hołdu Chystusowi Panu, przed którym wszyscy są „jedno“. Zjazd był niebywale liczny, uświetniony obecnością wielu dostojników Kościoła z Nuncjuszem Apostolskim Ks. arcybiskupem Marmaggi na czele. Nie brakło też przedstawicieli rządu.

Niezmiernie ciekawą nowością była sekcja prasy katolickiej. Postawiona na wysokim poziomie intelektualnym, w obradach swych nie miała charakteru popularyzacyjnego, lecz zmierzała do skoordynowania wysiłków ludzi pióra w szerzeniu zasad prawdziwie katolickich. Po wstępnem przemówieniu prezesa sekcji ks. infułata Kłosa, wyjaśniającem cel tej sekcji, zabrał głos ks. biskup Teodorowicz. W głęboko przemyślanym i pięknie wysłowionym odczycie p. t. „Prawda a kultura duszy“ dowiódł że prawdę, której ludzkość szuka od zarania dziejów, znaleść można jedynie u Tego, który sam jest Prawdą i jest pośród nas w Najświętszym Sakramencie. Między dążeniem do prawdy a czynem, jest związek nieunikniony; akcentujemy go, gdy w Sakramencie Ołtarza przyjmujemy w siebie Chrystusa Pana. Prasa i literatura, pragnąca wskazywać narodowi drogę do prawdy — musi wypromieniować Chrystusa.

Myśl, że pisarze katoliccy winni być przepojeni duchem Chrystusa Eucharystycznego przebijała we wszystkich, poważnie opracowanych, referatach i cennych dyskusjach.

Ojciec św. mianował Biskupem Ordynarjuszem djecezji sandomierskiej ks. Prałata Włodzimierza Jasińskiego, rektora seminarjum duchownego w Łodzi, Biskupem djecezji śląskiej ks. Infułata Dr. Adamskiego, słynnego kaznodzieję z Poznania.

Watykan żyje: Architekt Watykanu Luca Beltrani pod kierunkiem Ojca św. projektuje i stawia nowe budynki.

Kolekcja obrazów Watykańskich będzie rozmieszczona w nowej Pinakotece, gdzie każde dzieło otrzyma odpowiednie miejsce i światło. Pawilon wystawowy Watykanu zapełnia się ofiarami na rzecz Misyj katolickich. Otwarcia wystawy dokona osobiście Ojciec Święty. W październiku ma być wykończona stacja radjowa Watykanu. Niewielkie terytorjum państwa kościelnego dąży do samowystarczalności.

W archidjecezji medjolańskiej w Venegono otwarto wielkie seminarjum duchowne im. Piusa XI., którego myślą przewodnią ma być maksyma uniwersytetu założonego przez św. Karola Boromeusza: „Łączność między nabożnością, a wiedzą".

SPRAWY NARODOWE I POLITYCZNE.

Dwuletni kurs pracy społecznej nowoutworzonej **„Katolickiej Szkoły Społecznej"** w Poznaniu ma za cel wykształcenie teoretyczne i praktyczne oparte o katolickie ideały umiejętnych pracowników społecznych, oraz ma dać gruntowne przygotowanie do zawodu z zapewnieniem bytu materjalnego.

Otwarcie kursu nastąpi 1. X. 1930 o godz. 11ej w sali wykładowej Katolickiej szkoły społecznej przy ul. Podgórnej 12 b. II. p. w Poznaniu.

Wszelkich informacyj można zasięgnąć pod powyższym adresem.

W uroczystościach węgierskich ku czci św. Emeryka brała udział pielgrzymka polska. — W Ostrzyhomiu odbyło się **odsłonięcie pamiątkowej tablicy** ku uczczeniu zwycięstw **Jana Sobieskiego,** odniesionych pod Parkanami i Ostrzyhomiem.

Manifestacje narodowe w różnych miastach Polski, a zwłaszcza w Stanisławowie dn. 30. VIII. i w Bydgoszczy 7. IX. b. r. były protestem przeciwko atakom na całość naszych granic, podnoszonym przez niemieckiego ministra Treviranusa.

Marzenia o przywróceniu królestwa węgierskiego z Habsburgami na czele, przybierają coraz bardziej charakter rzeczywistości.

W manifestacjach na cześć św. Emeryka, w okresie Kongresu Eucharystycznego na Węgrzech, upatrywano u zwolenników królestwa objawu sympatji do Ottona, kandydata do tronu węgierskiego.

Prezes Ministrów płk. Walery Sławek, nie mogąc podołać obowiązkom premjera i prezesa klubu sejmowego B. B. W. R., podał się do dymisji. P. Prezydent Rzeczypospolitej dymisję przyjął dn. 23. VIII. b. r.

Kierownictwo rządu Prezydent Rzeczypospolitej poruczył **Marszałkowi Piłsudskiemu,** skład rządu pozostał bez zmiany.

Dn. 30 sierpnia **P. Prezydent Rzeczypospolitej** na podstawie art. 26 Konstytucji wydał dekret **rozwiązujący istniejący sejm i senat** i wyznaczył nowe wybory do sejmu na 16 listopada — do senatu na 23 listopada b. r.

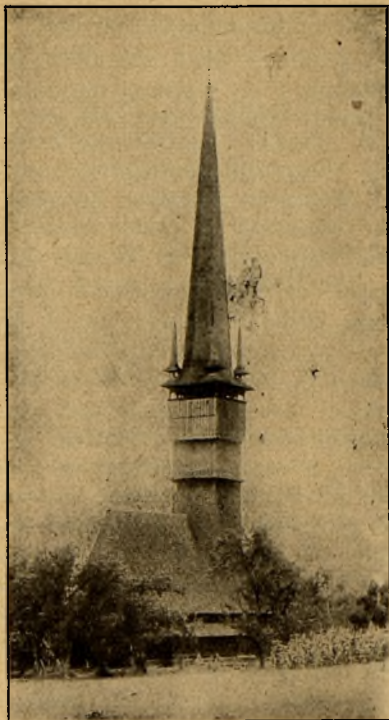
W Warszawie odbyła się **międzynarodowa konferencja rolnicza,** przy współudziale ministrów rolnictwa krajów środkowo-wschodniej Europy.

RÓŻNE WIADOMOŚCI

Z Międzynarodowej Wystawy Komunikacyjno - Turystycznej.

10 sierpnia b. r. w południe w jednej z hal wystawowych t. zw. Wieży Górnośląskiej dokonano uroczystego zamknięcia Międzynarodowej Wystawy Komunikacyjno-Turystycznej w Poznaniu. Mimo niepogody dość licznie zebrana publiczność w skupieniu wysłuchała przemówień prezydenta miasta p. Cyryla Ratajskiego, p. Ministra Komunikacji Kühna, oraz Dyr. Wystawy p. Roppa.

W b. m. zamknięta M. W. K. T. miała na celu ukazanie właściwości turystycznych poszczególnych krajów i ich środków komunikacyjnych. W wystawie brały udział prawie wszystkie państwa Europejskie. Wiele z nich otrzymało z chwilą zamknięcia Wystawy liczne nagrody za wspaniałe eksponaty oraz staranne urzą-



Z Międzynarodowej Wystawy Komunikacyjno-Turystycznej w Poznaniu.
Rumunja. Drewniana cerkiewka w Maramures.

dzanie stoisk. Między temi państwami znalazła się Wielka-Rumunja, której pokaz był istotnie imponującym. Komisja państwowa przyznała Rumunji, państwu sprzymierzonemu 8 wysokich nagród, zaś ze strony zwiedzających Wystawę ministrów, jakoteż publiczności zyskała ona liczne głosy uznania dla swego dorobku kulturalnego i przemysłowego oraz dla wysiłku włożonego około przygotowania Wystawy.

Wrażenie jakie Wystawa po sobie pozostawiła jest jak najlepsze, a dowodem tego jest świeżo założone w Poznaniu Koło Przyjaciół Rumunji.

Krystyna Klęskówna.

Samoloty handlowe i pasażerskie przebyły w ciągu drugiego półrocza 1929 r. w samych tylko Stanach Zjednoczonych 125 miljonów km. t. j. przestrzeń 3.000 razy większą od obwodu kuli ziemskiej.

Między N. Jorkiem a Bermudami zbudowano **pierwszą sztuczną wyspę**, służącą do lądowania aeroplanom. W ciągu dalszych 5-7 lat ma powstać cały szereg wysp-lotnisk między Ameryką a Europą, umożliwiających komunikację lotniczą. O ile ten projekt wejdzie w życie, to mimo ogromnych kosztów budowy takich wysp, podróż aeroplanem tańsza będzie o 10-20% od okrętowej.

Jak dalece komunikacja samolotowa znosi przestrzenie, ilustruje fakt jaki się niedawno zdarzył w Paryżu. Do Dr. Sody Katr, mieszkającego w tem mieście zwrócono się dn. 3 maja telegraficznie z Aleksandrji o jaknajrychlejsze dostarczenie serum do zastrzyków dla ratowania życia porażonego paraliżem dziecka. Za pośrednictwem samolotowej komunikacji już 5-tego maja została przesyłka dostarczona do Aleksandrji.

Kobiety pilotki. Obok angielki Anny Johnson i francuzki M. Bastie', która na awionetce ustaliła rekord długotrwałości lotu, lipcowy Nr. Skrzydlatej Polski notuje 3 nazwiska polskich pilotek: Lwowianek, W. Olszewskiej i D. Sikorzanki, które osiągnęły drugie miejsce w zawodach młodych pilotów urządzonych przez akademicki aeroklub lwowski i Kłosówny Janiny pomiędzy uczniami kursu dla pilotów, urządzonego staraniem aeroklubu akademickiego w Wilnie.

Francuscy lotnicy **Cortez** i **Bellonte** dokonali w 37 godź. 12 min. lotu z Paryża do Nowego Jorku.

Amatorki słodyczy zaciekawi zapewne fakt, że kwestją wzmożenia u nas konsumcji cukru zajął się Związek Polskich Związków Sportowych, jako sprawą doniosłą nietylko dla sportu, ale i dla życia polskiego wogóle, gdyż cukier zwiększa zdolność człowieka do wysiłku, pomnaża jego energję życiową, spełniając w ciele ludzkiem rolę węgla w lokomotywie.

Czy można doprowadzić ludzki organizm do niewrażliwości na jad żmij? Przypadkowe doświadczenia na ten temat porobił na własnem ciele S. A. Sure.

zmuszony w celach naukowych hodować do 80 gatunków rozmaitych jadowitych wężów krajowych i zagranicznych. Na dowód łagodności tych zwierząt przytacza fakt, że został przez swoich wychowanków, którym poświęcał bardzo wiele czasu, tylko 7 razy ukąszony i to zawsze w palce lewej ręki. 4 razy zawdzięcza ukąszenie niezręczności zwierząt, które zamiast w podsuwany pokarm wycelowały w palce, a dwa razy tylko ukąszenie było wyrazem gniewu spowodowanego sprawionym im bólem przez nieuwagę hodowcy. W najgroźniejszych wypadkach hodowca uciekał się do wypalania rany, a mimo to następowało opuchnięcie ręki. S. A. Sure musi mieć naogół badzo zdrowy i odporny na zatrucie organizm, kiedy 10-12 ukąszeń pszczół w szyję nie ściągało u niego żadnych złych następstw. Dla ogółu ludzi jad żmii jest bardzo niebezpieczny, to też po wyssaniu rany (na przewód pokarmowy — trucizna ta nie działa) przewiązawszy ją silnie powyżej miejsca ukąszonego, aby się jad z krwią nie rozchodził (jednak przewiązanie musi być od czasu do czasu obluźnionem) trzeba natychmiast wezwać lekarza, albo przewieść ukąszonego do szpitala.

Przyjemny, charakterystyczny **zapach** i **smak masła** wywołany zostaje przez bakterje. Uczeni Niel, Kluyver i Derk wyodrębnili te bakterje na sztucznych hodowlach, tak, że w ten sposób będzie można zapach i smak masła nadawać sztucznym tłuszczom n. p. margarynie.

Doświadczenia Erharda i Baura dowiodły że **gąsienice bielinka kapustnika** posiadają zmysł słuchu. Reagują one na klaskanie lub inny nagły hałas nawet z odległości 10 m. przez podnoszenie przedniego końca ciała.



Z Międzynarodowej Wystawy Komunikacyjno-Turystycznej w Poznaniu.
Rumunja. Typowy krzyż przydrożny.

JASNE KARTKI

Jasne kartki nieść pragną wiązankę wiadomości radosnych, któreby serca i myśli rozgrzały zapałem na miesiąc nadchodzącej pracy.

Dziś powiemy coś o realizacji tęsknot — dobrych — drzemiących w duszy każdego człowieka — tęsknot do własnego domku i ogródka. — Dobrych — bo własny domek estetycznie urządzony, to czynnik uszlachetniający życie rodzinne. A drugim takim, bodaj czy nie bardziej jeszcze doniosłym czynnikiem jest kawałek ogródka, gdzieby wśród barw i woni, wśród zieleni i świergotu, zbierać się mogła cała rodzina w godzinach wolnych od zarobkowej pracy. Własny domek to u nas niestety przywilej zamożnych. Więc na pociechę jedźmy do Szwecji, gdzie wysoko rozwinięty przemysł produkuje w większej ilości „serjowo“ nietylko artykuły codziennego użytku, estetyczne, a nawet stylowe, a mimo to dostępne szerokim masom, ale także całe domy.

Na tegorocznej wystawie przemysłu artystycznego i budownictwa w Sztokholmie, można było oglądać całe ulice zabudowane domkami różnej wielkości i ceny od 3000 koron szwedzkich począwszy, i to spłacalnych ratami. Nawet najmniejsze między niemi, wyposażone we wszystkie udogodnienia, wygodne, dzięki pomysłowemu wykorzystaniu miejsca, są dostępne sferom niezamożnym. Da Bóg — i my do tego dojdziemy.

Za to, aby mieć kawałek własnego ogródka nie potrzebujemy jeździć aż do Szwecji.

Dzięki inicjatywie i energji wybitnych działaczy poznańskich: ks. kanonika Dymka, pp. Wilczyńskiego i Marcińca, dyrektora ogrodów miejskich, powstał *Związek Tow. ogrodów działkowych,* (wydający czasopismo „Ogródek działkowy", do nabycia w Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu), który już 2400 rodzinom udostępnił posiadanie własnego kawałka ziemi, wśród pięknego otoczenia, estetycznie rozplanowanego kompleksu całości. Są tam i altanki do wypoczynku, boisko do zabaw dla dzieci. Dużo kwiatów i piękne drzewka owocowe. To też rodzina posiadająca działki, oprócz zdrowego i uszlachetniającego zajęcia przy pielęgnowaniu swej działki, zażywa także wrażeń estetycznych, których sfery miejskie mniej zamożne tak bardzo są pozbawione. Z pogodnym obrazem zadowolenia posiadaczy działek pracujących na swym zagonku, z uczuciem radości i zapału bierzmy się do pracy, która, jakakolwiekby była, zbliża ku nam dobrą przyszłość.

Warto pracować, bo dużo zrobić można.



Klasztor i Wyższa Szkoła Sióstr Felicjanek w Chicago.

DUSZA CZARA

z cyklu MATKA I ZIEMIA.

— otwiera się oczy,
patrzy się i widzi,
szuka i duma
w młodości dniach — —
— a potem idzie się wichurą
rozkołysaniem serca w czas
rozprzęgiem ramion burząc świat
i rwącą siłą krzyku — —
— — — — — — — —
— gdzieś młoty życia biją wciąż — —
— — — — — — — —
— później zamyka się cicho powieki
i widzi duszę tęskniącą
śni się lecący z drzewa liść
zwiędły na żółtą ziem — —
— — — — — — — —
— i wszystko zda się tylko snem —

tłum. z niem. Eugen. Stan. Stec.

Anna Słonczyńska: „Barwy i dźwięki." Poznań 1930, Księgarnia św. Wojciecha. Okazuje się, że nie trzeba szukać nowych tematów, by stworzyć rzeczy piękne i nowe, bo niema oklepanych tematów dla tego, kto głęboko umie czuć piękno świata i samodzielnie spojrzeć na zjawiska życia.

Plastycznym dowodem tego jest książka Słonczyńskiej. Tematem jej jest tylekroć opiewane „piękno świata", piękno przyrody. Lecz wiersz każdy tchnie taką świeżością, że staje się nową rewelacją piękna, radości i potęgi życia. Morze, jaśminy, barwy tęczy, łąki, góry, a nawet deszcz i lód są zjawiskami pięknemi. Wiersz Słonczyńskiej o dużej wartości przedewszystkiem nastrojowej, muzycznej (n. p. melodja wybrzeży) odznacza się śmiałością kontrastowania zarówno w tempie jak i obrazowaniu.

Myśli św. Augustyna. Wyd. Księgarni św. Wojciecha, 1930. Św. Augustyn, to nietylko geniusz myśli — ale to rwąca, wiecznie żywa potęga serca i wyobraźni wprzężona wraz z umysłem w służbę Najwyższego. Stąd jego aktualność po wsze czasy, jego bliskość każdej duszy człowieczej. „Myśli" jego przyczyniają się do poznania głębszego i do zżycia się z tym potężnym duchem.

Wanda Miłaszewska: „Młyn w Bożej Woli." Powieść. (Nakład Księgarni św. Wojciecha). Nienawiść i zazdrość — dwa czynniki destrukcyjne zarówno w życiu społecznem jak i jednostkowem. Nie można na nich budować swego szczęścia. O tem wyraźnie mówi powieść Miłaszewskiej, osnuta na tle niedawnych wydarzeń i zahaczająca, przyniesione ze wschodu hasła „podziału dóbr" i nienawiści klasowej. Szczęśliwe życie kochających się wzajemnie, pracowitych i wdzięcznych swemu chlebodawcy rodziców Michasi przeciwstawione jest niespokojnym i pełnym klęsk losom dalszego jej życia, w którem Michasia ponosi karę za niedokonane wprawdzie, lecz przeżyte w myśli czyny, a mąż jej Jan Sowik, ulegający podszeptom komunisty Muchina i starający się nieuczciwemi sposobami dość do fortuny, widzi rozbite swoje wszystkie plany przez sprawiedliwą dłoń Opatrzności. Konstrukcja powieści jest zwięzła i jasna.

Ks. Dr. Antoni Chlondowski znany jest w naszym kraju jako dobry i sympatyczny kompozytor pieśni religijnych i świeckich. Do tych ostatnich należą okolicznościowe **Hymny dla Młodzieży** z towarzyszeniem fortepianu, na chór unisono, mogące oddać duże usługi szkolnym dyrygentom śpiewu, w dni uroczystości narodowych i stowarzyszeniowych. Melodja łatwa, barwna, akompanjament piękny, efektowny, często pełen siły żywiołowej. Szata zewnętrzna estetyczna. Do nabycia: w Inspektoracie Księży Salezjanów, Warszawa, ul. Lipowa 14.

Barszczewski Stefan. „Marion". Opowieść z dalekiej Kanady. Warszawa 1928. Wydawn. M. Arcta. Józef Płachta, były kapitan w wojsku polskiem, wykolejony wojną rusza w świat. W Stanach Zjednoczonych porywa go gorączka zdobycia złota, a potem chęć wyprawy na daleką północ. Natrafia po drodze na samotną osadę trapera Jana Piton, Francuza, którego urocza córka, Marion, posiada odwagę matki swej Indjanki, a zarazem tęsknotę do kultury po ojcu. Płachta zatrzymuje się w tej chacie na jedną noc, przyjmuje zaproszenie Piton na polowanie, zastępuje potem rannego trapera i tak mija dzień za dniem i miesiąc za miesiącem, a o wyjeździe jego niema mowy. Płachtę pociąga atmosfera pierwotna i czysta tego odludzia tak daleka od wiru i zepsucia europejskiego i choć długo opiera się miłości do tej półindjanki mimo to zwycięża ona w końcu. Powieść czysta i zajmująca, wydanie staranne.

Grey Zane. „Jeźdźcy purpurowego stepu". Powieść. Przełożył z angielskiego i opatrzył wstępem Barszczewski Stefan. Warszawa 1929. Wyd. M. Arcta. Powieść powyższa odgrywa się w Otchu (dziś Stany Zjednoczone) wśród fanatycznej sekty Mormonów, gdzie młoda i piękna a zarazem bogata Jana Withersteen staje się przedmiotem krwawych prześladowań za to jedynie, że poślubić chce „niewiernego". Z pomocą przychodzi jej Lossiter pozorny zbój a jednak człowiek do gruntu prawy i szlachetny. Powieść pisana żywo i barwnie, wzbudza wielkie zainteresowanie i choć nie posiada tendencji wyraźnie moralnej, przeciwstawia jednak wybitnie szlachetność wszelkiej nieprawości.

Compte rendu du congrès scientifique touchant la protection de la nature... Kraków 1930. Wyd. Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Sprawozdanie ze zjazdu przedstawicieli Rumunji, Czechosłowacji i Polski w sprawie ochrony przyrody na terenach pogranicznych tych państw daje obraz zagadnień aktualnych nietylko w świecie naukowym, ale i dla każdego, komu bliską jest idea parków narodowych i rezerwatów w Tatrach, Pieninach i Wschodnich Karpatach. Obyż te idee, jaknajprędzej doczekały się realizacji pełnej.

Prof. dr. S. Dziubałtowski. Rezerwat jodłowy w Mieni pod Mińskiem Mazowieckim. Wyd. P. R. O. P. 1930. W Mieni jodła ma swój północny kres występowania w Polsce, stąd doniosłość zachowania takiej rzadkości jaką dziś jest tamtejszy las jodłowy. Powinien to zrozumieć polski przyrodnik i polski leśnik i przyczynić się do utworzenia w Mieni rezerwatu.

Szafer Prof. Władysław: **„Sprawozdanie z działalności Państwowej Rady Ochrony Przyrody w roku 1929."** (Nakładem P. R. O. P., Kraków 1930). Obraz prac P. R. O. P. w roku 1929 w dziedzinie organizacyjnej, ustawodawczej, w stosunkach z zagranicą, w dziele ochrony naszej przyrody. Krótki a treściwy ten obraz zająć może każdego i skłonić do bliższego zaznajomienia się

z niedość jeszcze u nas popularną, a doniosłą ideą.

Jan Gwalbert Pawlikowski: **Loi pour la Protection de la Nature en Pologne.** Nakład P. R. O. P., Kraków 1929. Broszura ta daje rzut oka na dotychczasową organizację Ochrony Przyrody w Polsce, omawia problemy prawne ochrony, podkreślając jej doniosłość naukową, estetyczną, historyczną. Zaznacza dobitnie, że idea ochrony przyrody przenikać powinna całe prawodawstwo, jakby pewna zasada moralna o doniosłem znaczeniu dla kultury duchowej narodu.

Wydawnictwa Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu: Bandrowskiego: „Sosenka z wydm". Calvet: „O twórczości i krytyce katolickiej." Obszerniej omówimy w następnym numerze.

WYZNANIE.

Hej! młodam jest i pełna sił,
Więc smutki rzucam precz!
I obcy dla mnie życia ił,
Nie spojrzę za się wstecz!...

Lecz wzrok swój wbijam w ołtarz mój,
Co kryje się za mgłą,
I chociaż wokół przeszkód rój,
Ja muszę zdobyć go!

Taki radosny dla mnie świat!
Na swobód lecę łan!...
Gdy zerwę kwiat, mój szczęścia kwiat,
Zwycięski zacznę tan!...

Hej! młodam jest i pełna sił,
I zawsze naprzód gnam!
Nie patrzę nigdy w życia ił,
Bo wiarę w przyszłość mam!

OD REDAKCJI

Często podnosicie głosy, kochane czytelniczki „Dziś i Jutro" w celu propagandy dla **naszego pisma.** Jest to objaw szlachetny, który zaprzecza przysłowiu: „Cudze chwalicie swego nie znacie". Musimy siebie znać to prawda, nasze pismo kochać i mieć do niego zaufanie i chlubić się tem, że ono **nasze.** Należy jednak uświadomić sobie, że „Dziś i jutro" nie jest pismem wyłącznie naszem, jak piszesz Kochana Miłko C., że nie o nie mamy walczyć, lecz niem na szerokiej placówce społecznego dobra. Pragniemy nietylko przemawiać, ale i słuchać. Słuchamy więc z zajęciem Milko C. Twych głębokich myśli zawartych w wierszu „w majową noc" — Cieszymy się Duniu P. radością, której doznałaś na widok swego pierwszego wiersza w druku. Piszcie więc, dzieci kochane, i wierzcie, że nietylko drukowane prace służą idei.

Wiele pomysłów poddają Wasze prace niedrukowane, ale przechowywane w skarbcu redakcyjnym. Często jest tak, że wierszyk w druku podoba się tylko, a inny mniej udolny pod względem formy, zamknięty w tece głębią swych myśli, czystością poruszeń młodzieńczego serca oświetla jak promyk mury redakcyjne, a więc napełnia radością źródło tej naszej zbożnej pracy.

Zosiu Masłowska, Twoja krzyżówka jest dobra, trzeba ją tylko przerysować starannie tuszem. Rysunek winien być na jednej kartce, a tekst na drugiej.

Wańdziu G. z Rybnika. Nie umieściliśmy Twojej Krzyżówki z powodu błędu. Nazwisko podanego malarza polskiego brzmi: Męcina-Krzesz, a nie Męcin-Krzesz.

Mildona Sz. z Rybnika. Bardzo słuszne są Twoje uwagi o popieraniu szkół gospodarczych w Polsce, gdyż od rozwoju gospodarki wewnętrznej zależy dobrobyt kraju.

I. K. z Lublina. Praca Twoja była rzeczywiście jedną z najlepszych za którą

przyślemy nagrodę pod wymienionym adresem. Ze zrozumiałych dla Ciebie powodów nie mogliśmy wydrukować „Pamiętnej chwili“. Chcielibyśmy Ci sprawić przyjemność przez wydrukowanie Twej pracy, dlatego napisz w przyszłości mniej „osobiście“, by można było podać pełne nazwisko przy rozstrzygnięciu konkursu.

„O CZEM SZUMIAŁ STARY DĄB“

(Wspomnienie z wakacyj).

Wakacje spędziłam u krewnych w ziemi Ciechanowskiej. Stary dwór i wzorowe zabudowania ukazały się oczom moim, gdy wjechałam w gościnnie otwartą bramę tej staropolskiej siedziby. Po przywitaniu się kuzynka moja zaprowadziła mnie do przeznaczonego dla nas pokoju. W chwili, gdy stanęłyśmy w progu, śliczny pokoik zalany był światłem zachodzącego słońca Przez okno widać było przestrzenie łąk, przez które jakby wstęga mieniąca się złotem płynęła rzeka. Brzegi jej obrośnięte były trzcinami i tatarakiem. Na dalszym planie widać było ruinę starego zamku. Dwie potężne okrągłe baszty i czworobok muru z czerwonej cegły stanowiły całość. Na wzgórzu szeroko rozłożyło się miasteczko ze starożytnym kościołem. Kuzynka objaśniła mnie, że są to ruiny zamku królowej Bony. Nazajutrz zerwałyśmy się ze wschodem słońca i podążyłyśmy wąską ścieżką nad rzeką Zidynią w stronę ruin.

Mgła przysłaniała nam zrazu widok. Gdy słońce uniosło się wyżej, a mgła opadła, oczom naszym ukazało się stare zamczysko. Na zasypanych fosach rosły drzewa i krzaki, a niedaleko od grobli, która prowadziła do ruin stał dąb-kolos, jakiego się dzisiaj nie spotyka. Obeszłyśmy cały zamek W jednej z baszt widać było wązkie kamienne schody. — Z góry dochodziły nas głosy kawek, wystraszonych naszą wizytą. Spoczynek znalazłyśmy w cieniu olbrzymiego dębu. Słońce zaczęło przypiekać na dobre. Z niedalekiego łanu pszenicy słychać było klekot żniwiarek, nad łąkami szybowały jaskółki i ważyły się w powietrzu śliczne granatowo-zielone szklarki. Gałęzie dębu szumiały poruszane wiatrem. Mgła jakaś zaczęła przysłaniać nam oczy.

* * *

— Zamek zaczął się zmieniać i rosnąć. Około nas nie było już widać łąk, a tylko ciemny gęsty las olch i dębów, sklepiona, okuta brama, a na łańcuchach most zwodzony.

Zdaleka od strony lasu, pod mury zamku zbliżył się orszak. Piękne rumaki, na nich jeźdźcy w złotolitych strojach, sfory psów gończych, a na czele orszaku dostojny pan. Strój na nim cudzoziemski, głowa dumnie wzniesiona — gdy zabrzmiał róg, zwodzony most opadł, brama otworzyła się i za chwilę orszak myśliwych wjechał do zamku. Wewnątrz krużganki, a na jednym z nich, piękna czarnooka królowa, otoczona dworem, oczekiwała małżonka. Na ręku bogato odzianej niewiasty, czarne żywe chłopię wyciągało rączki do ojca.

Nagle wszystko znika, a przed naszemi oczami inny obraz się tworzy...

* * *

Zamek nie jest już siedzibą królewską, ale jeszcze mocny i krzepki. — Słońce zachodzi...

— — — — — — — —

Na moście zadudniało i w sklepioną bramę wtoczyła się karoca, a za nią ładowna bryka. — Z karety wysiadło dwóch młodych paniczów. Jeden tęgi i dziarski, w bogatym podróżnym stroju, drugi ciemno odziany i z dziwnie zadumanem obliczem.— To synowie magnata Kostki z Rostkowa, w drodze do Wiednia na studja, proszą o nocleg u starosty Ciechanowskiego. Młodszy to święte chłopię, patron polskiej młodzieży Stanisław.

Znów mgła zasłania wszystko ..

* * *

Zamek już w ruinie.. Na miejscu, gdzie byłyśmy przed chwilą, siedzi młody mężczyzna otulony w zwoje czarnego płaszcza. — Opodal na łące stoją dwa osiodłane konie. Młody chłopiec, w liberji, zdejmuje wędzidła i puszcza konie na trawę. — Z daleka dochodzi gwar powracających z pola ludzi. Za chwilę cichnie wszystko. W zaroślach nad rzeką słowiki zaczynają nucić swą pieśń. Młodzian słucha i marzy o pięknych i starych rapsodach, serce, jednak zalane goryczą. — To wielki poeta, Zygmunt hr. Krasiński z pobliskiej Opinogóry, przyjeżdża tu czerpać natchnienie do swych wzniosłych poematów.

* * *

— W tem silne spiżowe tony rozkołysanych dzwonów na „Anioł Pański,“ rozproszyły nasze marzenia. — Długo uie mogłyśmy przyjść do siebie i dotąd nie wiemy, czy wszystko to, co widziałyśmy było snem tylko, czy też dusza starego dębu. wyśpiewała nam tę dziwną opowieść minionych lat!

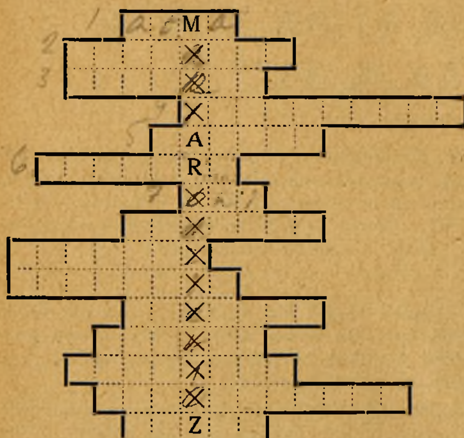
— — — — — — — —

Wanda Gadamowiczówna
ucz. VII. gimn. z Rybnika.

ŁAMIGŁÓWKI

ŁAMIGŁÓWKA LITERACKA 1.

(ułożyły: Irena Pukówna i Rut Solańska)



Litery oznaczone krzyżykami. czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko znanej powieściopisarki polskiej, której utwory należy wpisać poziomo.

Znaczenie wyrazów: 1. Powieść Rodziewiczówny, 2. Powieść Orzeszkowej, 3. Powieść Orzeszkowej, 4. Utwór Słowackiego, 5. Opowieść Prusa, 6. Powieść Kraszewskiego, 7. Powieść Gąsiorowskiego, 8. Powieść Rodziewiczówny, 9. Utwór Krasińskiego, 10. Nowela Sienkiewicza, 11. Utwór Tetmajera, 12. Powieść Amicisa, 13. Nowela Prusa, 14. Powieśc Reymonta.

ŁAMIGŁÓWKA LITERACKA 2.

(ułożyła: Zosia Garbaczówna)

Z niżej podanych sylab ułożyć 14 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko poety polskiego.

Sylaby: ce, je, ka, in, nad, koz, o, cha, hu, ska, dja, wa, kcja, ho, loo, zy, a, za, ze, ma, niem, chon, na, sta, gan, al, ka, ka, djan, mył, zja, nie, la, nem, za, bo, me, ter, ser, ka, oz, ka, so, ryn, su, wsią.

TREŚĆ Nr. 1.

SS.: Brawurowy lot młodej pilotki, 2 — Z. Kossak-Szczucka, Ku swoim. 3. — M. Wilk-Szarzyńska: Pociąg Nr. 47, 5. — E. Z.: O Matce Boskiej i ludzkiej, 8. — O. J.: W. Landowskiej „Mały Bayreuth francuski“, 8. — Taternik: Jedwabne pończochy, 9. — Marja Wilk-Szarzyńska: Z poznańskiego Ogrodu Zoologicznego, 10. — Anna Nagórska: Idzie jesień, 13. — M. W.: Prof. Edw. Strasburger, 14. — J. O.: Poszukiwanie, 16. Z Polski i ze świata, 16. — Jasne kartki, 19. — Dusza Czara: Z cyklu Matka i Ziemia, 20. — Najnowtze wydawnictwa, 21. — Wyznanie, 22. — Od redakcji, 2?. — M. Tomaszewska: Padają liście, 23. Wanda Gadamowiczówna: „O czem szumiał stary dąb“, 23. — Łamigłówki, 24.

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie 8 zł. — Cena pojedyńczego egzemplarza 80 gr. — W Ameryce prenumerata roczna wynosi $1^1/_2$ dolara. Konto P. K. O. 404.930.

Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.



DRUKARNIA POLSKA
W KRAKOWIE